

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 41. Rozwierucha (Antedon) z mórz europejskich, eokolwiek zmniejszona.



Fig. 42. Młode larwy rozwieruchy. Sześć razy powiększone.

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stępanowską.

(Dalszy ciąg).

Zauważono również, że niektóre gatunki gwiazd morskich, wydają światło, a między innymi *Brisingi* świeci niezwykle pięknie. Poeta i naturalista norweski, który odkrył tę wspaniałą gwiazdę nadał jej nazwę zapożyczoną od wyrazu *Brising*, świecącego klejnotu, który zdobi Freję, boginię piękności i miłości, według mitologii skandynawskiej. *Brisingi* są nader liczne w niektórych miejscowościach, żyją najczęściej na znacznej głębokości i niewątpliwie uroczym być musi widok dna morskiego, gdzie owe zwierzęta wolno pełzając, rozlewają dokoła siebie rzęsiste światło.

Dotąd mało poznano gatunków świecących szkarłupni, co stąd pochodzi, że większość tych zwierząt żyje w znacznych głębinach i dlatego trzeba specjalnych warunków, aby je badać.

Lilje morskie. Razem z gwiazdami morskimi pływają około wybrzeży zwierzęta podobne do nich, lecz o wiele delikatniejsze, o pięknej, czerwonej barwie. Są to *rozwieruchy* (Antedon) fig. 41. Zwierzątko to składa się z kielicha, z którego rozchodzą się ramiona, podobne do piór, zwykle w liczbie dziesięciu; niekiedy bywają znacznie liczniejsze i dochodzą aż do stu. Ramiona mogą zbliżać się ku sobie i znowu oddalać, zwiąć się jak sprężyna lub wyciągać w linii prostej. Tym sposobem zwierzę przybiera najrozmaitsze postacie, przypominające fazy rozwijającego się kwiatu. U spodu kielicha znajdują się wyrostki ciała, zakończone haczykami, za pomocą których zwierzę trzyma się skał lub przyczepia do kolonii polipów i wodorostów, a wówczas przedstawia się nam jak kwiat, wyrastający na tych krzakach. Gdy niepokoić zwie-

rzątko, to odrywa się od podłoża i pływa w morzu, ruszając swemi ramionami, najczęściej jednak siedzi nieruchome.

Ciekawą jest historia *rozwieruchy*. Rodzi się ona w postaci małego robaczka, który swobodnie pływa w morzu; lecz wkrótce przyczepia się do wodorostów lub innych przedmiotów morskich i przekształca się w organizm podobny do pączka kwiatu, osadzonego na długiej łodydze (fig. 42).

Wkrótce wyrastają mu ramiona, a gdy zwierzę zupełnie się rozwinie, wówczas łodyga pęka pod kielichem, rozwierucha spada i zaczepia się o otaczające wodorosty. Rozwierucha zalicza się do szkarłupni zwanych *liliami morskimi*; jakkolwiek wszystkie szkarłupnie przechodzą w młodym wieku niezmiernie skomplikowane przemiany, jednakże, z wyjątkiem lili morskich, żadne z tych zwierząt nie bywa osadzone na łodydze. W starożytnych morzach było wiele gatunków lili morskich, które przez całe życie, jak kwiaty rosły na łodydze, znajdowano niejednokrotnie takie skamieniałe lilie w pokładach ziemi, powstałych na miejscu dawnych mórz. (patrz fig. 43).

Wręcz odmienne kształty od lili mają *jeżowce morskie*, których nie należy utożsamiać z jeżami lądowymi. Są to zwierzęta w postaci kuli, spłaszczonej nieco u spodu, koło gęby; zwierzę okryte jest kolcami, któremi może poruszać wedle upodobania. Ciało jeżowca zamknięte jest w twardej, wapiennej skorupie, tak, iż na zewnątrz widać tylko otwór gębowy, najczęściej opatrzone silnymi zębami, zdatnymi do żucia roślin. (fig. 44).

(d. c. n.).

TWÓRCA MODLITWY PORANNEJ.

Wiedzą zapewne czytelnicy nasi, kto był Karpiński, gdyż znane im są pierwsze jego utwory, a mianowicie modlitwa poranna: „Kiedy ranne wstają zorze” i wieczorna: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, które to pieśni są śpiewane u nas nawet przez prostaczków. Może jednak nie wszyscy znają życie domowe ich twórcy, jego zwyczaje, upodobania, stosunki i t. p. o których tu wspomnieć zamierzamy.

Franciszek Karpiński urodzony w Hołoskowie na Pokuciu w Galicyi 1741 r., kształcił się w kilku zakładach naukowych, ukończywszy je nauczał innych. Najpierw był mentorem księcia Sanguszki, później kierował nauką młodego ks. Radziwiłła i dopiero mając lat 50, otrzymał przywilej na dzierżawę kawałka ziemi w puszczy Białowieskiej. Miejscowość ta nazywała się Kraśnikiem, później zaś na jego pamiątkę Karpinem.

Niełatwe wszakże było życie w Karpinie, należało ciężko pracować, aby zniszczony majątek doprowadzić do lepszego stanu, ale nasz poeta nie szczędził trudu, wstawał o świcie i pracował na równi ze swymi włodarzami. Z czasem przyzwyczaił się do tej osady, która mu dawała jakie takie utrzymanie i nawet mawiał nieraz do przyjaciół:

— Lepiej mi tu niż w mieście, dom ze wszech stron ogrodzony, nie dopuści wilków i niedźwiedzi, a w mieście jak się uchronić od złego człowieka? Pono żadna zagroda nie pomoże!

Karpińskiego nazwano „poetą serca”, gdyż był tliwym i pełnym uczucia, czasami gdy pisał, był tak wzruszony, że łzy jego papier zwilżały, a odczuwali je potem ci, którzy prace jego czytali. Pełen cnót i dobrych przymiotów, chciał je widzieć i w innych, wierzył i ufał każdemu, nie przypuszczając niechęci, podejścia lub fałszu; często spotykały go za-

wody i powoli zrażać się do ludzi zaczął. Trudno mu było znaleźć prawdziwego przyjaciela, nie znalazł też żony, miał jednak rodzinę, którą kochał szczerze i to mu wystarczało.

Choć mieszkał na pustkowiu i nie dążył do ludzi, miał jednak raz u siebie bardzo liczne zebranie: Wydawał wtedy za męża wnuczkę, dla której był wujeczynym dziadkiem. Co to było za wesele, co na niem było gości, to aż w podziw wszystkich wprawiało, gdzie i jak takie tłumy pomieścić się mogą, ale czegoż to gościnność dokonać nie zdoła? a poeta był prawdziwie gościnny, to też naspraszawszy krewnych i znajomych, bliższych i dalszych z różnych stron świata, pomyślał o ich przyjęciu i wygodzie. Zbytków tam nie było, wszystko skromne, ale z serca ofiarowane. Nad bramą wjazdową widniał napis, który zaraz przybywającym wpadał w oczy:

Prostak jestem z urodzenia,
Poprostu „yszę i czuję,
Prosty sposób mój myślenia,
Poprostu was też przyjmuję.

Było to niby ostrzeżeniem ogleśnego gospodarza, aby goście wiedzieli, czego się spodziewać mogą, jednakże mimo tej prostoty, każdy gość rad był z pobytu w Karpinie, każdemu było dobrze i przyjemnie w domu zacnego gospodarza. Gdy przed udaniem się do kościoła, panna młoda schyliła się do nóg dziadka po błogosławieństwo, ten zrobiwszy krzyżyk nad jej głową, podał jej pismo, zawierające różne przestrogi i rady. Wszyscy potem skwapliwie rękopis ten czytali a nawet przepisywali, bo warto było zapamiętać, zacne myśli w nim wypowiedziane. Przytaczamy tu niektóre:

— Pamiętaj o tem, wnuko moja, pamiętaj zawsze — mówił — że Bóg widzi wszystko co robisz a robić będziesz to tylko, co On każe.

„Sznuj i kochaj matkę męża, jak własną, boć ona teraz już jest twoją.

„Jeżeliżby mąż rozgniewał się na ciebie, przyjmij to cierpliwie i wierzaj mi, że upokorzenie się miękczy największy gniew; jeżeliś była winna męża ci przebaczy, jeżeliś była niewinna, to gdy ochłonie z gniewu i przekona się o tem i sam cię przeproszą będzie.

„Strzeż się gniewu, bo człowiek zagniewany przestaje być człowiekiem, zwłaszcza też kobieta, która w dobroci i cierpliwości przodować powinna.

„W sprzeczkach ustępuj upartym, bo tak nakazuje grzeczność.

„Bądź skromna we wszystkim: w słowach, w ułożeniu, w ubraniu.

„Wspieraj ubogich, o ile będziesz mogła, wierzaj mi, że ich modlitwy wyjednają ci łaskę u Boga.

„A teraz proszę, nie zapomnij i o mnie, który ci te przestrogi z błogosławieństwem daję i życzę, aby wam obojgu przy długim życiu i pomyślności nie zbywało na przyjaciół między ludźmi, a przed Bogiem na zasłudze, za którą idzie nagroda”.

Podobnie jak te słowa, zacne i pocziwe, były zawsze myśli i czyny Karpińskiego. O sobie najmniej pamiętał, żył dla rodziny, to też choć przywiązał się szczerze do swej osady, która mu na lat 50 przyznana była, choć swoje skromne potrzeby mógł tu w zupełności zaspokoić, myślał jednak o tem, aby mieć dla rodziny jakiś własny zakątek; zaoszczędziwszy więc trochę grosza, nabył wieś Chorowszczyznę pod Łyskowem, w powiecie Wołkowskim i tam przeniósł się 1819 r. Żadna to była miejscowość, ale nie było w niej kościoła. Wprawdzie w Łyskowie, odległym o parę wiorst zaledwie był kościół, ale Karpiński zanadto był osłabiony, aby tam mógł uczęszczać, tembardziej, że wkrótce po przybyciu do Chorowszczyzny, musiał się położyć i już z łóżka nie wstał. Karpiński myślał także o innych, to też i o nim myślano.

Od Łyskowa przedzielał Chorowszczyznę las i naturalnie zasłaniał widok kościoła, przeto dobry wnuk kazał przetłasu wyciąć, zostawiając od strony Chorowszczyzny kilkanaście drzew podciętych, które na dany znak miały upaść.

Czwartego października, w dzień imienin Karpińskiego, gdy tenże leżąc na łóżku spoglądał w okno i odnawiał poranne pacierze, drzewa padły i kościół Łyskowski przedstawił się oczom uradowanego starca.

Jakże wdzięczny był wnukowi za ten dowód pamięci, za chęć uprzyjemnienia mu ostatnich chwil życia, zalał się łzami i głosem wzruszonym zawołał:

— Boże, błogosław wnuka mego za zgotowaną mi pociechę, bo większej już mieć nie mogę. Odtąd codzień modlił się, patrząc na kościół, wreszcie oddał Bogu ducha 1825 roku, mając lat 84.

Zwłoki jego pochowano na cmentarzu w Łyskowie, na grobie zaś, spełniając życzenie zmarłego, położono kamień z napisem: „Otóż mój dom ubogi”.

Karpiński mimo całej tklivości posiadał też pewną dozę dowcipu; opowiadano sobie różne o nim anegdotki, ot np: gdy ks. biskup Naruszewicz tak się doń odezwał z przekąsem:

— Przodek waćpana musiał być rybakiem, co można wnosić z nazwiska.

— Być może — odrzekł Karpiński — i to by mi po- chlebiało, bo nawet apostołowie byli rybakami, ale przodek Imci księdza biskupa musiał naruszyć coś nieswojego, kiedy go Naruszewiczem przewzano.

To znów, gdy mu dano ową pustkę w puszczy Białowieskiej i zaproponowano, aby nazwał Justyną na pamiątkę uwielbianej kobiety, Karpiński odpowiedział ofiarodawcy:

— Nie mogę tego uczynić, w Justynie było wszystko, co człowieka uszczęśliwić może, a ta osada to takie ładaco, że człowiek przez nią niemało się nakłópoce i jeszcze z głodu zginąć może.

Dowcipny też był sposób, w jaki Karpiński przypomniał ks. Radziwiłłowi obietnicę jego za lata nauczycielstwa, przy nim spędzone. Napisał taki oto memoryalik:

„Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor starszy wie- kiem, prowadził go za rękę, żeby chodząc po górach nie upadł, a w dolach błotem się nie powalał, albo gdzie nie ugryzł, słowem, aby w niczem szwanku nie poniósł.

Przyszedł czas, że Polidor zestarzał się i spokojnie w chacie swojej siedział, wówczas przyszedł do niego Alta- mor i rzekł:

— Tyś mię prowadził i ratował w dzieciństwie, ja teraz przyszedłem poratować cię w starości, masz tu chleb, który kładę przy tobie, abyś wygodniej stare lata przepędził.

Bóg wejrzał z nieba na ten piękny dowód wdzięczności, a ponieważ Altamor nie miał już rodziców, rzecze więc do swych niebian:

— Młodzieńcowi temu ja zastąpię ojca i matkę.

Wasza książęca mość jesteście Altamorem, a ja jestem Polidorem i sprawę moją jego względem polecam”.

Dowcip ten niezmiernie się podobał młodemu ks. Radzi- wiłłowi, zaraz też kazał wypłacić Karpińskiemu całą nale- żność.

Miał też Karpiński zwyczaj podpisywania różnych dwu- wierszy pod obrazami, jakich miał u siebie niemało. Niektó- re były bardzo dowcipne i udatne.

W jadalnym pokoju u niego stały dwie szafy: jedna pełna książek, miała na sobie napis: „Dla duszy”, druga z zapasami jadła i napojów: „Dla ciała”.

Jakiemuś cudzoziemcowi tak się to podobało, że u sie- bie w domu miał też takie napisy pokłaść.

O! napisów było u niego pełno wszędzie: nad bramą wjaz- dową, nad drzwiami wchodowymi, nad kuchnią, stajnią, obor- ną, stodołą i t. d.

Opowiadano też sobie, jak się raz chłopiec jakiś znalazł z Karpińskim: pewnej nocy wracał poeta od sąsiadów do domu saneczkami, jednym konikiem, aż tu ni stąd ni zowąd koń się wyprzągnął i poeta poradzić sobie z zaprzęgiem nie umiał.

Zły, przebiegły i tak i siak ani rusz, wtem nadjeżdża chłop-pek, wsiadłszy z lasu sosenkę i przygląda się tej biedzie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odzywa się pierwszy Karpiński.

— Na wieki wieków! — odpowiada chłopiec.

— Mój przyjacielu — rzecze znów poeta — pomóżcie mi przyprowadzić kobyłkę!

— A kto waść? a skąd? — dopytuje się wieśniak.

— Karpiński jestem — brzmi odpowiedź.

— Aha! Karpiński, ale nie z Kraśnika (z Karpina), prawda?

— Właśnie, że z Kraśnika — odpowiada Karpiński — dlaczegożby nie? — dodaje zdziwiony.

— A no, to pan Karpiński z Kraśnika, to najmądrzej- szy na sto mil w około, a wasze nawet konia nie umiesz za- prządnąć...

Umilkł Karpiński na te słowa, ale chłopiec i tak ulito- wał się i zaprzęgnął mu konia.

Helena Bojarska.

ODZYSKANY.

P O W I E Ś Ć

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

— Tak, rozumiem, że cię żalność ogarnęła na widok śmierci twego opiekuna i nie mogłeś pohamować ręki — rzekł Krystyn ze smutkiem, ale teraz trzeba ci ztąd uciekać jak najprędzej, bo nie jesteś bezpiecznym i mogą się tu zjawić, aby cię pochwycić.

Juraś nic nie odpowiedział, tylko stał z opuszczoną gło- wą, w ponurem zamyśleniu.

— Nie masz co długo czekać, ani się namyślać, trzeba ci ztąd iść — powtórzył Krystyn nalegająco. Konie w stajni zostały, bierz jednego i ruszaj w świat. Udaj się do twojej chorągwi, a oni cię tam gdzie ukryją, lub dalej wyprawia. Idź idź, mój synu, i niech cię Bóg ochrania: ciężko mi roz- stawać się z tobą, ale konieczność zmusza. O Boże, Boże, ktoby się był spodziewał czegoś podobnego!

Juraś ocknął się wreszcie z przygnębienia, w jakim po- zostawał dotąd, a ponieważ Krystyn wciąż nagle poszedł więc i wyprowadził swego konia ze stajni, poczem zbliżywszy się do Pawła, przy którym klęczała wciąż Steńka pogrążona w boleści, rzekł, całując jego zimną rękę.

— Zegnaj, ojczyste...

Krystyn zaś zwróciwszy się do Steńki, rzekł półgłosem.

— On musi uciekać, inaczej źle z nim będzie. Pobło- gosław go na drogę i niech jedzie prędzej, bo czas nagli.

— Jak ja was samą zostawię tutaj, matko — szepnął Juraś.

— Zapominasz, że ja zostaję — rzekł Krystyn.

— Niech cię Bóg strzeże i prowadzi — ozwała się Steń- ka ze łzami całując Jurasia — mnie już teraz nie nie straszne na tym świecie!

— Jedź, jedź, bo teraz noce krótkie, a trzeba żebyś do rana był już ztąd daleko, ozwał się Krystyn, odciągając chłopca.

Koń już stał gotowy do drogi, grzebiąc nogą ziemię; Juraś wsiadł na niego i puścił się w świat, przed siebie, zo- stawiając poza sobą futor w którym się wychował i tych wszy- stkich co go kochali, aby rozpocząć życie tułacza i zbiega... Odjechałszy kilkanaście kroków obejrzał się: futor stał cichy oblany blaskami księżyca, w trawie rozlegało się ćwierkanie świerszczów polnych, które same tylko mąciły ciszę.

Krystyn spoglądał długo za odjeżdżającym, poczem zbliżył się do Steńki, która wciąż klęczała przy mężu, w niej pograżona bólesci.

— Chodź, ja ci pomogę przenieść go do chaty, nie można go przecież zostawić tutaj — rzekł do niej.

Pochylił się nad leżącym Pawłem, jakby chciał w nim jeszcze szukać oznak życia i uczuł niby słabe bicie serca...

— Słuchaj, kobieto — rzekł do Steńki, twój mąż nie umarł jeszcze; kto wie, czy nie uda nam się przywołać go do życia, ale nie traćmy czasu ani chwili...

Steńka porwała się zalana łzami radości i przycisnęła do ust rękę Krystyna.

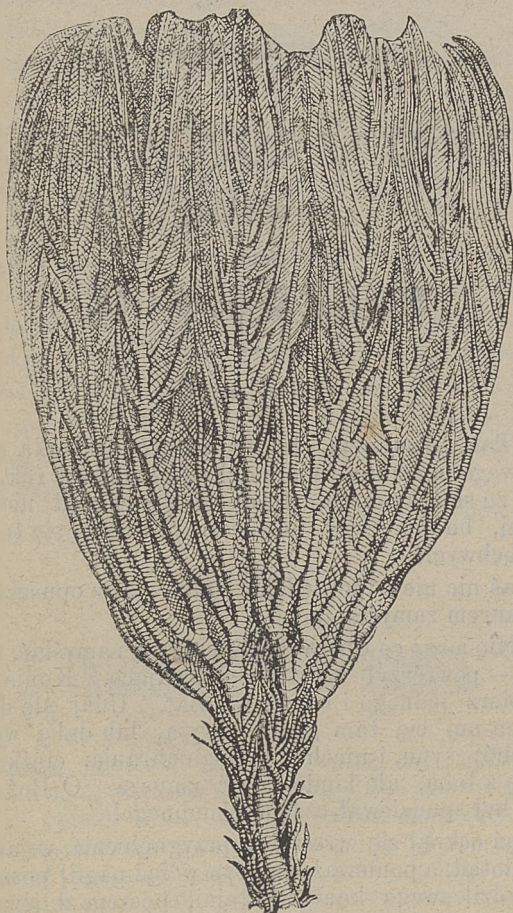


Fig. 43. Skamieniala lilia morska. Połowa wielkości naturalnej.

— Więc on żyje naprawdę? — wyszeptała wzruszona.

Za chwilę Paweł został przeniesiony do chaty i Krystyn zajął się opatrzaniem rany jego w piersiach, znalazł bowiem dobrze na własności rozmaitych ziół leczniczych i na wszelki wypadek miał je najczęściej przy sobie.

— Rana jest ciężka, ale kto wie, może on z niej wyjdzie; widywałem już nieraz podobne wypadki. Skoro rano nadejdzie pójde, nazbieram w lesie jeszcze innych ziół, które są bardzo pomocne, a potem obaczmy co Bóg da.

Steńka tymczasem drżącymi rękami rozpałała ogień na kominie; wkrótce płomień oświecił ściany chaty i błada twarz Pawła leżącego na pościeli. Krystyn stał w pobliżu i badał ją uważnym okiem, śledząc powracające życie, a jednocześnie myślał o tem, co zaszło.

— Ten także jeśli wyzdrowieje, będzie musiał uciekać ztąd, a nawet najlepiejby było utaić z początku, że żyje — rzekł do siebie.

Na drugi i na trzeci dzień przybywali różni ludzie na futor, ale spotykali tylko zapłakaną Steńkę, która opowiadała, że mąż jej został zabitym w starciu z ludźmi podstaroście-

go. Wkrótce sama ona gdzieś się wyniosła i futor opustoszał zupełnie.

Poranek był cudny; obszerny dwór pana Krasnosielskiego w Nihiniu tonął cały w słońcu. Od wyżej opisyanych wypadków już rok upłynął i wszelkie ślady tatarskiego napadu znikły zupełnie; wszędzie widniały dostatek i zamożność. Przed gankiem rosły dwie olbrzymie lipy, okryte kwieciami, dokoła których uwijały się roje pszczół i trzmieli, wydając brzęk radosny. Na ławeczce w ganku siedział pan Krasnosielski, odmawiając poranne pacierze, a zarazem okiem obejmując piękny krajobraz, rozciągający się naprzeciwko. Pola okryte zbożami, otoczone były w półkole łańcuchem wzgórz, porośłych lasem i odznaczających się rozmaitością kształtów. Lekka, sinawa mgła przysłaniała dalsze przedmioty na widnokręgu, a w powietrzu czuć było jeszcze całą świeżość poranku...

A jednak rzecz dziwna, skoro oko pana Krasnosielskiego zwracało się na te pola urodzajne, rozciągające się szero-

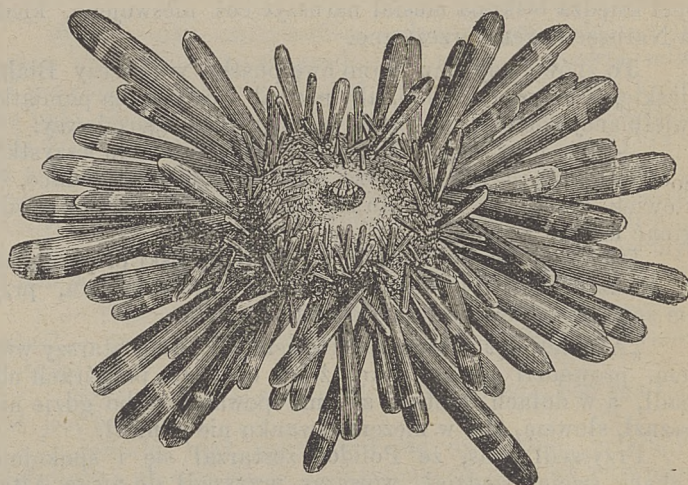


Fig. 44. Jeżowiec o pałkowatych kolcach. W środku otwór gębowy z zębami. Połowa naturalnej wielkości.

ko, twarz jego powlekała się smutkiem, a westchnienie wydierało się z piersi.

— Bóg nie dał, abym mógł to wszystko własnemu nazwisku przekazać, przejdzie to do innego rodu, gdy córka wyjdzie za mąż. Ha, dziej się wola Boża!

Wkrótce na dziedzińcu ukazała się Dosia z koszyczkiem w rękę, wracając od gospodarstwa. Za nią jakby wojsko jakie, postępowała gromada kur, gęsi i kaczek, gęganiem i kwakaniem domagając się jeszcze ziarna. Dosia śmiała się i opędzała zarazem, mówiąc.

— Już nie mam więcej, już nie mam więcej!

— Kwa! kwa! kwa! — wrzeszczały na to kaczki, otwierając szerokie dzioby.

Dosia wbiegła na ganek i zamknęła za sobą furtkę, co ujrawszy ptasia gromada, stanęła, namyślając się, co ma począć. Najrozsądniejsze były kaczki, bo natychmiast w całym porządku zwróciły się do odwrotu, kołysząc się z powagą; za niemi poszła reszta.

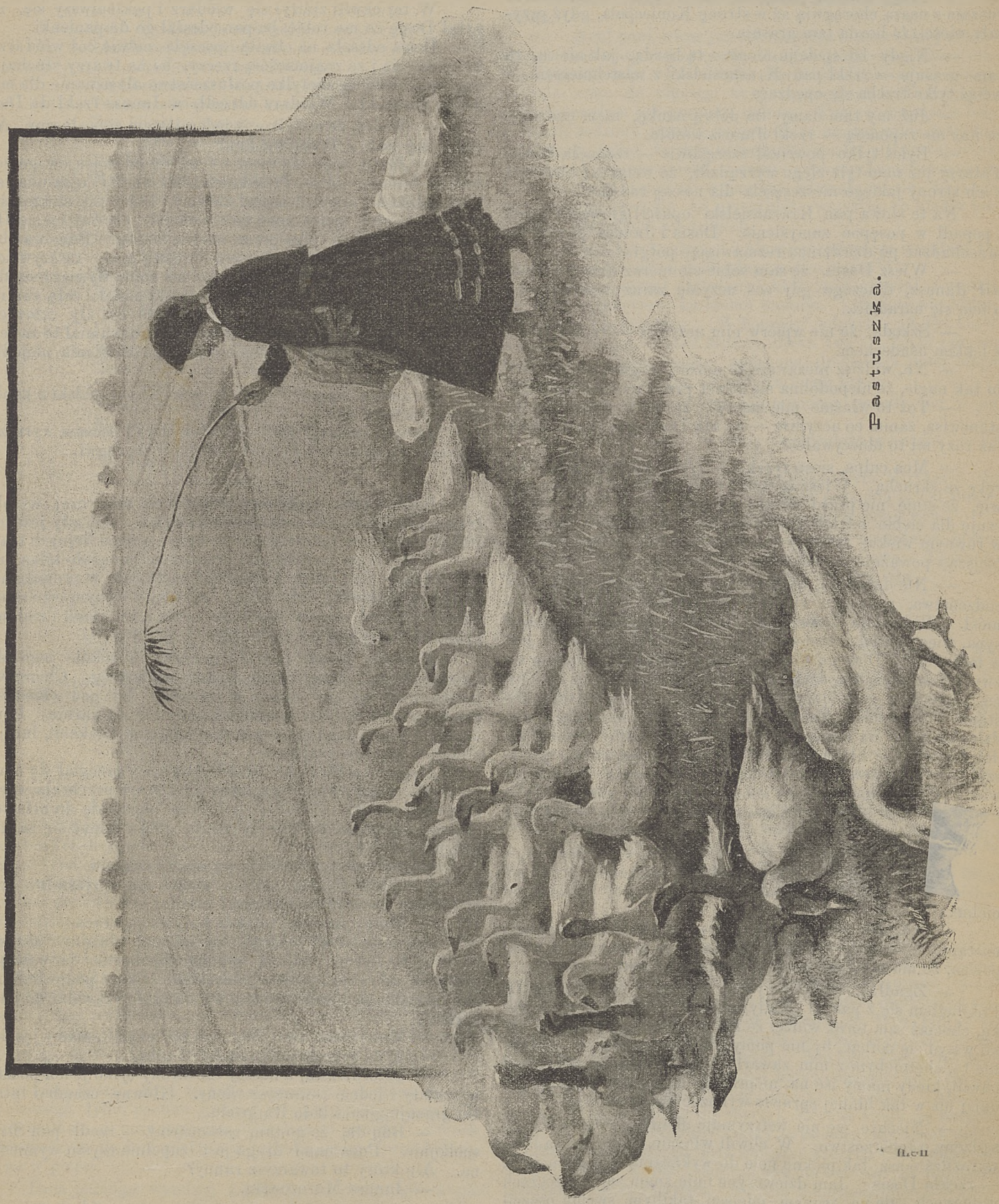
— Jak się macie tatusiu? — rzekła Dosia, całując ojca w rękę.

— Dzień dobry ci dziecko — rzekł pan Krasnosielski. A popatrz-no, kto tam jedzie na drodze, bo ja jakoś dobrze nie widzę.

— To Janusz, tatusiu — rzekła Dosia uradowana.

— Cóż to dziś tak rano?

W istocie był to Janusz Morczowski, który obecnie pełnił już służbę rycerską w jednej z miejscowych szeregów. Przybycie jego zawsze było witanem radośnie we dworze Nihńskim, bo pan Krasnosielski kochał swego siostrzeńca, a Dosia nie mając brata rodzzonego, jego uważała za brata.



Пастушья.

— Witam was, wuju — rzekł Janusz, zeskakując z konia — dawno już was nie widziałem i Dosi także.

— Rad jestem, że cię widzę — rzekł pan Krasnosielski całując go w głowę. Cóż tam słyhać na świecie?

— Przyjechałem pożegnać was, wuju, bo jutro zaraz ruszam z naszą chorągwią aż w stronę Koniecpola, gdyż przyszły wieści, że horda tam grasuje.

— Nigdy bo spokoju niema z tą hordą, jak nie tu, to tam grasuje — rzekł pan Krasnosielski z westchnieniem — wciąż tylko trzeba się opędzać.

— Już my tam damy im dobrą naukę; mam nadzieję, że nas nie zapomną — rzekł Janusz wesoło.

— Byleś tylko powrócił szczęśliwie — szepnęła Dosia. Tatarzy już nam tyle złego wyrządzili, że wciąż się obawiam z ich strony jakiego nieszczęścia dla naszej rodziny...

Na te słowa pan Krasnosielski opuścił głowę na piersi i popadł w posępne zamyślenie. Dosia i Janusz poczęli się przechadzać po dziedzińcu rozmawiając półgłosem.

— Wiesz Dosiu, że sam sobie się nieraz dziwię — mówił Janusz, dlaczego gdy coś uczynię, zaraz muszę z tobą o tem się naradzić...

— Szkoda, że nie wpierw nim uczynisz — rzekła Dosia z lekkim uśmiechem.

— No, widzisz niezawsze to można, czasem się coś zrobi tak nagle, że niepodobna się nawet przed tem zastanowić...

— Toż to właśnie mię martwi, że się ty nigdy nie zastanowisz, zanim co uczynisz — rzekła Dosia poważnie. A ile już razy mi to obiecywałeś?

— Mea culpa, siostrzyczko — rzekł Janusz, całując jej rękę ze skrucą. Wiesz czasem mi się zdaje, gdy z tobą mówię, że stoję nie przed siostrą a przed matką, taki respekt czuję dla ciebie od lat najmłodszych. A przecież jesteśmy w równym wieku; tylko ty od dziecka byłaś zawsze rozsądniejsza i poważniejsze odemnie.

— Nic dziwnego, wychowałam się sama, bez matki, bez rodzeństwa, przy ojcu zbolałym, z powodu straty jaką poniósł. Widziałam zawsze jak ubolewał nad tem, iż utracił syna, więc powiedziałam sobie, że ja go zastąpię, o ile to jest w mej mocy. Dlatego to stałam się poważną, i pozbyłam się zwykłej dziewczętom lekkości, dlatego starałam się być ojcu pomocą w gospodarstwie, w którym potrafię go teraz zastąpić w potrzebie. Żałuję tylko jeszcze, że nie mogę, jako dziewczka, pójść na wojnę, bo wówczas ojciec byłby ze mnie zadowolony. Ale i tak doszłam do tego, że się trochę pocieszył i choć nie przestał żałować, że niema syna, jednak powiada mi czasem, że jestem mu zarazem jakby synem i córką i we wszystkich kłopotach i zmartwieniach u mnie szuka rady i pociechy...

— Nic dziwnego, bo ty umiesz ją zawsze znaleźć — rzekł Janusz — jesteś rozsądna i dobra zarazem i nigdy nie sądzisz zbyt surowo drugich, którzy są mniej rozsądni od ciebie...

— No, no, widzę, że jest to przedmowa do mającego nastąpić wyznania — rzekła Dosia z uśmiechem. Jestem pewna, że musiałeś coś nierozsądnego popelnąć.

— Zgadłaś, moja domyslna siostró — odparł Janusz. Pokłóciłem się z panem Kudyjowskim i wyzwałem go na rękę, chociaż sam teraz widzę, że nie było do tego powodu, ale mi wstyd się cofnąć, by nie pomyślał, że młódź. Gdyby nie to, chętnie bym z nim zawarł zgodę, zwłaszcza w obecnej chwili, kiedy mamy iść na nieprzyjaciela i kiedy możemy go-dniej niż w tak błahej sprawie wykazać swoją odwagę...

— Niechże cię nie wstrzymuje obawa, że będziesz po-sądzony o tchórzostwo. W chwili właśnie, kiedy jak sam się wyraziłeś masz tak piękne pole do wykazania swego mężstwa — rzekła Dosia. Jam dziewczyna i nie znam się na rzeczach wojennych, ale na twojem miejscu takibym swemu przeciwnikowi dała warunek pojedynku, niech każdy z was stara się prześcignąć drugiego w spełnianiu tego, co do niego nale-ży, a wówczas przynajmniej odwaga wasza przyniesie po-żytek...

Dosia mówiła z głębokim przejęciem i wzięwszy za rękę Janusza patrzyła na niego poważnie i serdecznie zarazem.

— Nie wiem czemu to przypisać, ale gdy ty co powiesz Dosiu, ja muszę cię usłuchać — rzekł Janusz po chwili namy-słu. Samemu mi nieraz dziwnie z tego powodu...

W tej chwili zbliżył się włódarz i pokłoniwszy się, za-pytał Dosię co ma robić, bo pan odesłał go do panienki.

Dosia odeszła na chwilę i poczęła mówić coś włódarzo-wi spokojnie i ze znajomością rzeczy, bo na twarzy słuchają-cego malowało się nie tylko posłuszeństwo ale uznanie dla mą-drości panienki. Włódarz odszedł, a Janusz rzekł do Dosi:

— Widzę, że nie tylko ja jeden jestem ci posłuszny. Ale cóż to się stało z Trzaskowskim?

— Jakto, więc nie wiesz o tem, że od czasu owego zaj-ścia na futorze, gdzie Trzaskowski bez wiedzy ojca udał się z pacholkami i urządził napad zbrojny, który tak nieszczęśli-wy miał koniec, ojciec znać go nie chciał, chociaż on się tło-maczył, że robił to tylko przez wierną służbę. Ponieważ był ciężko raniony w owym zajściu i zresztą może rzeczywiście chciał usłużyć na swój sposób więc na sobie wyznaczoną do-żywnością pensję, aby mógł żyć bez troski nadał z całą swą ro-dziną. Bardzo to dobrze się stało, bo to był zły człowiek, który niejedną krzywdę ludziom wyrządził ale umiał to zawsze tak utaić przed ojcem, że dopiero po jego oddaleniu niejedno się odkryło...

Rozmowa się przerwała, bo pan Krasnosielski z ganku zawołał ich do siebie.

Janusz zabawił jeszcze do wieczora, poczem wyruszył w drogę, by nazajutrz być już przy swej chorągwi.

Była to pora kiedy step okrywał się zazwyczaj wysoką trawą, przetykaną różnobarwnem kwieciami, więc gdy jeździec jechał teraz, to zaledwie widać go było z pośród bujnych traw.

Właśnie po szerokiej tej przestrzeni podążało kilka huf-ców, zdając się płynąć pośród fal zielonych; w promieniach słońca połyskiwały ich hełmy, a trawy z cichym szelestem ugiwały się pod nogami końskimi, wraz z kwiatami i ziołami, które zdeptane jeszcze pachniały.

Na czele jechał pan Jerzy Struś, a sokole jego oko patrzyło w dal, przed siebie, śledząc widnokrąg. Chorągwie postępowały za nim cicho i w porządku, bo pod okiem su-rowego wodza wszyscy musieli zachowywać się karnie. I tyl-ko wiatr przelatując zafurczał rozwiniętymi znakami, lub ja-strząb w błękitie zakrakał.

Nagle pan Struś przysłonił ręką oczy, przegiął się nieco na siodle, a ogorzała, energiczna jego twarz przybrała wyraz skupionej uwagi. Podobny był teraz naprawdę do orła ste-powego, który, nastroszywszy pierze gotów rzucić się na nie-przyjaciela.

Na widnokręgu ukazała się kupa jeźdźców.

Po chwili jednak oblicze wodza się rozjaśniło, brwi ściągnięte rozmarszczyły i rzekł wesoło:

— Mości panowie, to nasz podjazd powraca.

Jakoż w istocie zbliżył się oddział zbrojny i wszyscy poznali, że był to podjazd wysłany niedawno, prowadzący gromadę zabranych jeńców tatarskich. Skoro podjechali bli-żej, dowódca podjazdu wysunął się na czoło i zawołał do pana Strusia:

— Mości rotmistrz, Bóg nam poszczęścił, mamy języka!

— A ilu jeńców przywódzicie z sobą?

— Czterdziestu, z naszej zaś strony tylko jeden pocztowy zabity i jeden towarzysz ranny. Główny czambuł tatar-ski grasuje gdzieś koło Rajgradu...

— Bóg da, że go tam zaskoczymy — rzekł pan Struś spokojnie. Poza nami droga je-t zupełnie czysto wyniecio-na. Ale który to towarzysz ranny?

— Janusz Morozowski.

(d. c. n.)

PASTUSZKA.

Ach! dla Boga, ja nieboga,
 Ludzie mówią żem uboga;
 Ja, sieroce wioski dziecię.
 Czyż to prawda? Pan nad światy,
 Ten wszechmocny, tak bogaty,
 Że i lilie stroi w szaty,
 Mym jest ojcem przecie.
 Dał mi skarby co się zowie:
 Myśl ochoczą, ciała zdrowie,
 Zwawe w pracy ręce.
 Więc szanując Jego wolę,
 Jemu za mą skromną dołę,
 Modły ślę w podzięce.
 Mam kęs chleba, z łaski nieba,
 Dla mnie czarna rodzi gleba,
 Plenne zboża kłosy.
 I jak dla bogatych dzieci,
 Wiosna cudnie łąki kwieci,
 Złote słońko z góry świeci,
 Błyszczą krople rosy.
 Na wygonie, w gąsiek gronie,
 Nie próżnują drobne dłonie,
 Mają pracę nową.
 Nie dam stadku zlej swobody,
 Nie dam ludziom robić szkody,
 Więc gdy wrócę do zagrody,
 Zyskam dobre słowo.

E. I.

SERBSKA DZIEWCZYNA.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBII W XIV STULECIU

przez

Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Więc słuchaj. Miałam i ja kiedyś rodzinę, ale dawne, bardzo dawne to już dzieje... Twoi rozłączyli mnie Fatymę z tymi, których kochałam... Miałam ojca i matkę, miałam brata starszego odemnie... Lat temu czterdzieści, a liczę obecnie pięćdziesiąt. Turcy wpadli do Serbii, zrabowali kilka naszych wsi i miast, uwieźli noc pieniędzy od nas, tysiące ludzi zagnali do niewoli; pomiędzy nimi i ja byłam i dostałam się na dwór sułtana; póki byłam młodą, stroili mnie w jedwabie i kwiaty i kazali sułtanowi śpiewać, bo głos miałam podobno piękny; gdy się zestarzałam, poruczono mej opiece dzieci sułtańskie, wychowałam twego ojca, a potem ciebie. Zrazu tęskniłam za swymi, lecz powoli oswoiłam się z niewolą; bywały dnie, że nie pamiętałam o swoich, o tem, że inni moje nie Miryam lecz Maryca; że mowa której używam, to nie moja mowa, lecz, że nauczyłam się jej dopiero, mając lat dziesięć, tylko pacierz codziennie mówiłam jakiego nauczyła mnie matka. A przy pacierzu myślałam o swoich. Jednak jeśli zdarzyło się żem posłyszała serbską mowę, serce kołatało mi w piersi.

Dnia jednego wyszłam z pałacu, potrzeba było kupić tych wonności, które tak lubisz. A tu spotykam serbską dziewczynę. Przypomniałam sobie strój, choć widywałam go rzadko. Patrzę, a ona płacze. Więc przystępuję do niej i pytam, co jej jest? Jakże nie mam płakać, odpowie, kiedy brat jęczy w niewoli a pobratym jego, który mi towarzyszył ciężko chory. Cóż poczęć sama jedna wśród obcych. Poszłam

z nią do chorego. Stara jestem, znam się trochę na lekach. Resztę wiesz pani, ale nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Jakto? Powiedz mi.

Miryam spuściła głowę i milczała czas jakiś. Potem rzekła:

— Ach! pani, wiesz już coś uczyniła dla serbskiej dziewczyny, a nie wiesz coś uczyniła dla starej Miryam, która ciebie wypłatowała. Posłuchaj. Serbska dziewczyna zaprowadziła mnie do chorego swego towarzysza. Wchodzę do izby, i stanęłam jak gromem rażona. Patrzę, na macie leży brat mój rodzony, przysięgałabym, że to on, też same rysy, też same oczy; tylko, że czas ubiegły nie mu lat nie przysporzył, szronem głowy nie ubielił, twarzy zmarszczkami nie poorał. Dom rodzinny stanął mi w pamięci, zdawało mi się, że jakaś siła cudowna wróciła mi przeszłość, wszystko co kiedyś kochałam, wszystkich mi drogich.

„Milan! krzyknęłam, i z płaczem radosnym rzuciłam się ku niemu — gdzie ojciec? gdzie matka nasza?”

— On spojrzał zdziwiony „któż to?” zapytał i usunął się od wyciągniętych ku niemu ramion. „Czyś ty nie Milan z Topnicy?” zapytałam. „Z Topnicy” odpowiedział. „A tyś kto?” dodał. „Marya, siostra Milana, córka Iwy”. Teraz i on się wzruszył „rodzona ciotka, oplakana do śmierci przez mego ojca” odpowiedział. Fatyma, to był syn mego brata.

Spuściła głowę i łzy strumieniem puściły się z jej oczów.

— Wiem, wiem! zgaduję — zawołała wreszcie. — Ty chciałaś wrócić do swoich.

— Do swoich! do swoich — powtórzyła Miryam — do Serbii powrócić, zobaczyć ziemię moją rodzinną przed śmiercią, ucałować mogiły ojców, brata uścisnąć, och... och...

Zapomniała o wszystkim, o tem że jest niewolnicą, że stoi wobec władczyni, którą może obrazić swą mową. Tęsknota tłumiona lat tyle, wybuchła z niepomąganą siłą.

Fatyma z razu zmarszczyła brwi.

— Myślałam, że mnie kochasz — wyrzekła.

I odwróciła się od niej niechętna.

— Kocham cię, kocham — jęczała niewolnica. — Ale tam wszyscy moi. W biedzie, w nędzy, w ucisku. A ty jesteś szczęśliwą.

Walka wewnętrzna odbywała się w sercu Fatymy. Na to ostatnie słowo oczy jej zabłysły.

— Szczęśliwa — powtórzyła dwukrotnie — szczęśliwa Ty nauczyłaś mnie, że szczęściem jest dobrze czynić. Więc idź do swoich Miryam, idź, daruję ci wolność. Przykro mi będzie nie widzieć cię więcej, ale nie mogę znieść twoich łez, dam ci złota, chcę żeby ci było wśród swoich dobrze.

Wzruszenie odjęło Miryam mowę, teraz łzy wdzięczności stoczyły się po jej zwidłych policzkach, całowała ręce i stopy swej pani, nazywała ją głośno aniołem.

* * *

Niestety, dom w Sawicy był teraz zniszczony, okrutni najeźdźcy spalili go, drzewa ogrodu wycięli, dobytek uprowadzili, a czego zabrać nie mogli z sobą, to stratali i porabiali. Gdy po ucieszeniu się wrzasków, jakie napastnicy szczyli, rabując cudzą własność, mordując tych którzy się ukryć nie zdołali. Tetera wyszedł ze swej kryjówki, ujrzał tylko popioły, zgłiszczą i gruzy... Nie było dachu, by dzieci i rannych na noc, lub podczas burzy ochronić, nie było kawałka chleba, by głód licznej rodziny zaspokoić. Ale nikt próżnych jęków i skarg nie szerzył. Zdrowi wzięli się natychmiast do pracy. Synowe Tetery z pomocą starszych dzieci naznosiły z pobliskiego lasu gałęzi, z których zbudowano naprędce szałas, w nim umieszczono na noc starych rodziców, rannych i młodsze dzieci. Starsze z matkami noc pod gwiazdą niebem spędziły, a gdy ranek zaświtał, żona Wojdy poszła z Jagodą do lasu grzybów nazbierać, żona Miłosa z pomocą Jurka roznieciła suty ogień na dziedzińcu i kiedy śpiący w szałasie pobudzili się, było czem pierwszy głód zaspokoić. Tak było wszędzie. Rodziny, które oszczędziła wojna, nie płakały po zniszczeniu mienia, lecz silni i zdrowi

działali energicznie, by nieszczęście zmniejszyć, i powoli spalane chaty dźwignęły się, pola zazieleniły, miasta odbudowywać się poczęły. Serbowie nie tracili otuchy, że jeszcze błyszczą dla nich dni lepsze.

Pewnego południa, a było to w święto, cała rodzina Tetery krzątała się około świeżo wystawionego domu. Wojda i Miłosz już zdrowi zupełnie, opowiadali ojcu i synom porażkę może o boju kosowskim, a oni słuchali ich z niewyczerpanem nigdy zajęciem, wspominali nieobecnych z westchnieniem; koło Marycy skupiły się kobiety i dziewczęta. Na twarzy niewidomej malowało się dzisiaj ciche rozradowanie; bielmem zasłonięte oczy zwracała ciągle ku wschodowi i uśmiechała się błogo.

— Kogo ty tam widzisz, babko? — zapytała ją naraz Jagoda.

Maryca położyła drżącą rękę na jasnej główce dziewczęcia.

— Kogo ja widzę? — powtórzyła pytanie, uśmiechnąwszy się znowu — widzę złotowłose dziewczę, jak stęsknione ku nam bieży; widzę dwóch junaków, którzy ją wyprzedzają.

Jagoda wytrzeszczyła ciemne swoje oczy.

— Zdaje ci się babciu — odparła po chwili — gościńcem nikt nie dąży, pusto na nim zupełnie.

Maryca wstrząsnęła głową.

— Ja ślepa, ty masz oczy zdrowe — rzekła — lecz ja lepiej widzę od ciebie, gdyż wzrokiem duszy patrzę, a wzrok duszy dalej sięga, niż ciała.

— To ja wykłuję sobie oczy i oczyma duszy będę pa-
trzyć — zaszczebiotała Jagoda.

— By móżdż coś zobaczyć oczyma duszy, na to długo czekać trzeba — odparła z westchnieniem Maryca — pierwszej wiele łez wylać, wiele przecierpieć, osiwieć z bólu, pożółknąć z żalu, z trudu się pochylić, daleko ci jeszcze do tego wszystkiego Jagódko, lecz przyjdzie i na ciebie czas: nikt od starości się nie wywinie, chyba, że śmierć starość uprzedzi, bywa tak czasami..

Zamyśliły się obie, słońce spuszczało się coraz niżej, dzień uchodził, synowie Tetery opowiadania nie przerywali.

— Co to za gromadka ludzi idzie ku nam — odezwał się naraz Miłosz, ręką ku gościńcowi wskazując.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, Tetera powstał i oczy dłonią przysłonił przed blaskiem czerwonej tarczy słonecznej.

— Widzę dwie kobiety i dwóch mężczyzn — rzekł po niej jakimś czasie — kto to być może?

— Oj stary, stary, nie wiesz kto idzie do ciebie — łajac poczęła Maryca, trzęsąc głową, lecz jednocześnie uśmiechała się słodko. — Od godziny widzę ich już — dodała. — Spiesz naprzeciw odzyskanych: przecierpiał nasze gołąbki najwięcej ze wszystkich, jako przeżuwała dusza moja, lecz tego nie przeczuła, iż Bóg miłosierdzie swe okaże, że pąków nierozwiniętych zawczasem strącić nie pozwoli.

Tetery serce poczęło bić jak młotem, żrenice Stefanka i Jagody rozszerzyły się, synowe pootwierały usta ze zdziwienia.

— Co wy mówicie matko? — spytała żona Miłosza.

— Mówię; spieszcie naprzeciw, bo idą moi, drodzy sercom naszym, — odparła Maryca.

— Anka i Marko? — tonem pytania wymówił zarumieniony od wzruszenia Stefan.

Stara skinęła mu tylko głową, lecz on odpowiedź niemą zrozumiał: zbiegł pędem ze schodów, w jednej sekundzie był na gościńcu.

— Anka! Marko! — krzyczał na cały głos.

Zawtórowały mu w wesołych wołaniach inne dzieci i pobiegły także, za nimi matki ich i synowie. Tetera i Maryca nie ruszyli się z miejsca, drżące od starości nogi iść im nie pozwoliły, lecz niebawem Anka i Marko całowali ich kolana i łzami radości oblewali ręce, a z nimi cisnął się do nich Milan z powitaniem. Miryamu widocznie wzruszona, przypatrywała się tej scenie z daleka i oczyma pełnymi łez wodziła za Milanem.

Gdy pierwsze uniesienie radości z odzyskania syna i córki uspokoiło się nieco, Tetera spostrzegł wówczas obcą, starą kobietę.

— A któż jest ta, co z wami przyszła? — zapytał.

Milan przypominał sobie teraz ciotkę, wprowadził ją na ganek i poznał ją z rodziną przyjaciela, mówiąc iż całe szczęście swoje jej zawdzięcza.

Potem Milan opowiadał swoje przygody i tak zakończył:

— Dzisiejszy wieczór i noc spędzimy tutaj, jutro z ciotką do Topnicy podążym, by dom spalony przez Turków odbudować, ziemię zorać i zasiać; razem z ciotką do śmierci mieszkać będziemy, a może z czasem, tu spojrzal na Ankę, ktoś więcej do naszego domu przybędzie.

Na te słowa Anka zarumieniła się i spuściła oczy, obie bratowe uśmiechnęły się, Maryca pogłaskała jasną główkę dziewczęcia, a Tetera rzekł głosem uroczystym:

— Opuścisz ojca twojego i matkę twoją, a za małżonkiem twoim pójdziesz.

Anka podniosła wzrok.

— Lecz kochać ojca, matkę i braci moich nie przestanę nigdy — odparła.

Wesoła rozmowa potoczyła się teraz, bo radość z odzyskania tych, których za straconych mieli, ożywiła wszystkich.

* * *

Czas goi najcięższe rany, na najboleśniejsze rzuca zapomnienie, niedziw więc, że i Serbowie poczęli zapominać o klęsce Kosowskiej i o stratach tam poniesionych, a nawet przyzywając się do jarzma ich gniołącego... Niejeden już się wychował pod tym jarzmem, więc zdało się mu, że tak być musi, że nie może być inaczej. Wzdychali tylko nad swoją dolą, starsi wspominali piękną, swobodną przeszłość, lecz o tym, by położenie ich mogło się zmienić, większość przestała roić. Bajazet rósł w potęgę, hołdowali mu nie tylko Serbowie, lecz już i Bulgarzy, otrzymał on przydomek: „Błyskawica”, gdyż jak błyskawica przebiegał ze swymi spalanymi sąsiednie kraje i zdobyłszy czynił... Cesarz niemiecki Zygmunst i grecki Manuel, podbudzeni przez papieża, utworzyli wojsko krzyżowe i postanowili obalić państwo tureckie, lecz pod Nikopolis wojska chrześcijańskie rozbite zostały i Bajazet śmiejąc jeszcze odtąd napadał sąsiadów, a Serbowie bardziej wątpili.

(d. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

THEŚĆ: Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Twórca modlitwy porannej przez Helenę Bojarską — Odzyskany, powieść przez Maryę Łopuszańską. — Pastuszka wiersz (z ryc.). — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu przez Teresę Jadwigg. — Dodatek: Pies ukarany (z ryc.) — Szarada w obrazkach przez Prokopa. — Jaś, wiersz przez W. G. — Mał Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Вapиана 9 Септaбpя 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

PIES UKARANY.

(B A J K A).

(Dokończenie).

— Teraz jestem piękny! — mówił do siebie, przeglądając się w stojącym szafliku z wodą — psiarnia nie jest już dla mnie odpowiedniem mieszkaniem, należne mi miejsce w salonie, gdzie nagrodzę sobie wszystkie doznane dawniej krzywdy. Trzy młode charty wyglądające ze swych przegród, za uciekającym szczurem usłyszały te słowa i śmiały się; kot siedząc w pobliżu na półce, rozśmiał się także z niedorzecznej zrozumiałości buldoga, a gdy pies wyszedł, on podążył na jego rozrzucone legowisko i odnalazł w słomie czarodziejską kosteczkę.

— Niema na niej co ogryzać — mówił mądry kotek — ale zapach jej przyjemny, radbym na niej poprzestał, gdyby mnie kto przygarnął, udzielając ciepłego kąta przy kominku.

Bul tymczasem wszedłszy do mieszkania bogatego pana, biegł prosto do salonu, ale służący wypędził go czempredzej jako pospolitego kundla, którego właściciel domu nawet na podwórzu nie znosił. Pies chciał wrócić do psiarni; drzwi jednak zastał szczelnie zamknięte.

Odezwał się w nim po niewczasie żal za straconem schronieniem.

— Mnie tam tak było dobrze na wygodnem posłaniu z wesołymi towarzyszami! — myślał.

Niebawem głód mu zaczął dokuczać; pobiegł do miasta i zatrzymał się przed jatką rzeźnika.

— Wolę pozostać u takiego pana, u którego jest się zawsze sytym — pomyślał, ale go w jatkę nie poznano i odpędzono, jako obcego natręta.

Pies zmordowany, zgłodzony, pobiegł do lasu, gdzie dojrzał światło w chacie starej wróżki; do drzwi jej przyczołgał się skostniały.

— Jeśli mam zginąć — myślał — to chcę ostatnie technienie wydać u nóg mojej dawnej pani, której dobroci nie umiałem cenić.

Tak tedy biedny Bul pragnął już tylko zakończyć dni swoje pod strzechą rodzinnego domu. Dochodził go ztamtąd zapach gotującej się na kominku wieczery i warczenie kółka, na którym wróżka przędła, rozmawiając z kotem.

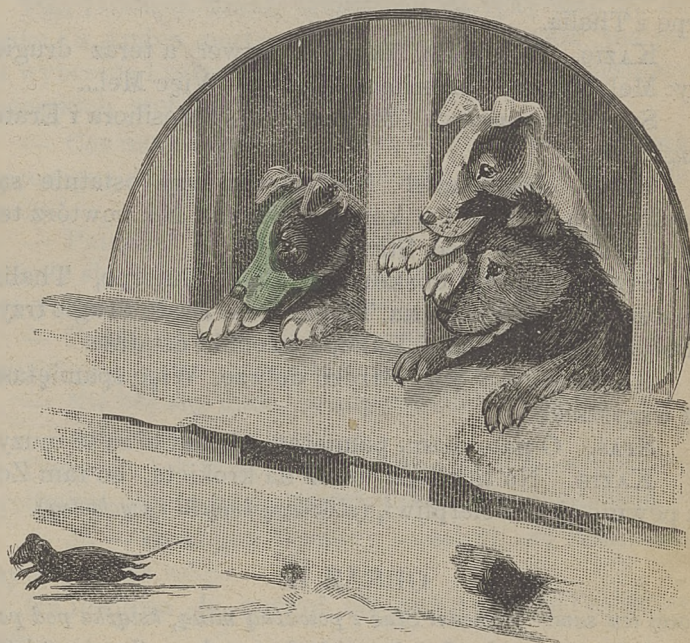
— Gdybym mógł tam wejść choć na chwilę tylko, ogrzać zeszytywniałe od zimna członki!

I nieszczęśliwy pies zawył tak żałośnie, że wróżka zdjęta litością drzwi otworzyła.

— Nie poznając w tobie mego dawnego Bula — rzekła — nie przypuszczałam jednak, iżby inny pies na świecie mógł wyć tak przeraźliwie, jak ty, wiecznie ze wszystkiego niezadowolony.

Jakże ponętnie wyglądała izba wróżki! Jasny ogień palił się na kominku, na stole wszystko do wieczery było przyrządzone, a czarny kot trzymając w łapkach czarodziejską kostkę, wygrzewał się przed ogniem.

Wróżka nakarmiwszy zgłodniałego psa, wypędziła go potem z domu jako obcego przybłędę. Biedny Bul z ogonem smutnie zwieszonym, musiał biedz dalej i dopiero następnego dnia przygarnął go stary, niewidomy żebrak, który go nauczył jak poprzestawać na małym i znosić cierpliwie przykrości życia.



Charty wyglądające za uciekającym szczurem.

Pies prowadził często ślepego staruszka do wróżki, która ich uprzejmie witała, ale Bul utraconej czarodziejskiej kostki już nigdy nie odzyskał. Kot i wróżka byli zadowoleni z siebie wzajemnie, nie myśleli się porzucić. Żebrak z czasem przywiązał się do Bula dowodząc, że w nim znalazł wiernego, nieodstępного towarzysza. Słyszając to pies pomyślał:

— Z losem swoim godzić się trzeba; służyć za przewodnika poczciwemu człowiekowi, a skoro jestem pożyteczny na świecie, tem samem mogę nazwać się szczęśliwym.

SZARADA W OBRAZKACH.

OBRAZ I.

(Staś i Kazio siedzą przy stole z książkami i uczą się).

KAZIO (wstając). Już skończyłem wszystko na jutro. Chodź Stasiu, zagramy w krokieta, tam pewnie Zosia na nas czeka. Czy ty się jeszcze uczysz?

OBRAZ III.

(Kazio gra na skrzypcach, Staś słucha).

KAZIO (składa skrzypce). Już skończyłem.

STAŚ. Dziękuję ci bardzo, żeś dla mnie zagrał. Ach, jaka to piękna muzyka!

Rozwiązanie: Muzy — ka.

Prokop.

J A Ś.

Jaś, chłopiec dobry w gruncie, tylko gnuśny trochę,
 Utyskiwał częstokroć na szkolne mozoły
 I, oblekając w słowa swoje myśli płocze,
 Mówił. — Cóż to za męka, chodzenie do szkoły!
 Aż zazdrość bierze, patrząc na dorosłych ludzi,
 Oni nie dbają zgoła o jakieś tam stopnie!
 Ojciec na to odrzecz: — Pozor ciebie łudzi
 I, przezeń uwiedziony, sądzisz nieroztropnie.
 Spojrz baczniej, a dostrzeżesz co innego zgoła,
 Zobaczysz, że i starcy uczą się, jak dziatwa;
 Bo świat, kochane dziecię, to najwyższa szkoła,
 Życie zaś to nauka — bynajmniej niełatwa,
 Od kołyski do grobu, wciąż się uczyć trzeba,
 Ażeby na promocję zasłużyć, do nieba!

W. G.

OBRAZ II.

(Pokój ten sam. Wchodzi Staś z poważną miną, książka pod pachą, okulary na nosie, kapelusz i laska w ręku. Za nim 6 letni Boleś i Adaś, śmiejąc się, biegną).

STAŚ (poważnie). Panowie, proszę się nie śmiać. Nauka się zaczyna! (siada na krześle). A więc pan Boleśław powie mi wszystkie litery.

BOLEŚ. A, b, c, d, e, f, g, h, i, j... (zatrzymuje się).

STAŚ. I co dalej?

BOLEŚ. Nie wiem.

STAŚ. A pan Adam wie?

ADAŚ (śmiejąc się). Nie.

STAŚ. Nie wiecie? Oto litera „K” (pisze na tablicy wielkie K). Więc K. (do Bolecia). A nie pamiętasz jakiego słowa zaczynającego się na „K” dla was niebardzo miłego?

ADAŚ. Ja wiem.

STAŚ. Powiedz.

ADAŚ (tryumfując). Kasza!

STAŚ (śmieje się).

ADAŚ (obrażony). Z czego się śmiesz?

STAŚ. Do pana profesora nie mówi się „ty”, tylko „panie profesorze” bo inaczej spotka cię kara! Więc wiecie jakie to słowo?

BOLEŚ. Wiem, wiem: Kara.

STAŚ. Tak jest. Jeżeli jutro nie będziecie wiedzieli, że „k” następuje po „j”, to was spotka kara! (wychodzi).

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Ja chcę sięść na kozle, jeśli pan pozwoli — odpowiedział Iwonek — tam daleko przyjemniej, a miejsca jest dosyć.

Pani Dumany zimno pożegnała odjeżdżających, ale Franuś był zasmucony, że nie należy do wyprawy. Stryj pocieszał go obietnicą, że innym razem przyjdzie kolej na niego.

Powóz pomknął szybko. O jak rozkoszną wydawała się Melci ta droga, którą przed paru miesiącami przebywała piechotą, o głodzie i chłódzie. To też dziękowała Bogu, że dał im takiego zanego i kochanego opiekuna.

Pod wieczór stanęli w L., gdzie zjedli obiad i prze-nocowali. Murzyni zwracali powszechną uwagę i wzbu-dzali ogólną ciekawość. Jeden ze służących hotelowych chciał potrzed twarzyszkę Iwonka, żeby sprawdzić, czy to kolor skóry prawdziwy, ale go uwolnił go od tej niebez-piecznej próby.

Nazajutrz wyruszyli w dalszą drogę.

— Ach, jaka szkoda, żeśmy nie odwiedzili pani wachmistrzowej — zawołał Iwonek — jej syn Piotruś dał

— i monetę dziesięciosusową, ja mam teraz pięć takich monet, tobym mu je oddał.

— A jabym podziękowała za jej litość nad nami — dodała Melcia.

— Dobrze, zajedziemy do nich wracając, bo teraz mamy coś ważniejszego do spełnienia — rzekł pan Dumany.

Nad wieczorem zbliżyli się już do Ploumanach. Gdzieś widać już było chatki rybaków, rozrzucone na wybrzeżu. Na jedną z nich patrzyła Melcia z wielką wagą.

Za radą Andea, który znał tę okolicę wysiedli z powozu.

— Stąd — rzekł on — mamy tylko nie całą milę do zamkniętej skały, a byłoby nieostrożnem przejeżdżać przez wioskę powozem, zwróciłoby to uwagę wszystkich nieszczańców. Niech więc powóz zaczeka na nas w S., gdzie jest niezły zajazd, a my koniec naszej podróży odjedziemy piechotą.

— Bardzo dobrze, Andeo, a później wrócimy tu znowu — rzekł pan Dumany. — Wskażcie tylko Piotrowi drogę do wioski, gdzie ma na nas czekać.

— Ach! czy pan nie pozwoli nam odwiedzić przedem domku rodziców — zawołała Melcia.

— A gdzież jest ten domek?

— Tu obok nas, proszę pana, na lewo! Wydaje się, że nie zamieszkałym, pewnie go nie sprzedali.

— Żądanie twoje bardzo zrozumiałe, Melciu. Pójźmy tam razem.

— A ja czy nie pójdę do naszego domu? — zapytał Iwonek.

— Owszem, mój kochany, przecież mieszkaliśmy w nim oboje.

— Musiały już wiśnie dojrzeć w ogrodzie, chodźmy je nazbierać.

— Rozmyślam o zbyt smutnych rzeczach, mój bracie, abym zajmowała się teraz wiśniami — odpowiedziała Melcia niezadowolona, że Iwonek okazuje tak mało wzruszenia na widok domu, w którym zmarli ich rodzice.

Ze smutkiem w sercu zwróciła się w stronę tego domku. Jo otworzył z łatwością drzwi i znaleźli się w dobrze znanej sobie izbie. Kurz był wszędzie i nieład, ale rzeczy żadnej nie brakło.

— Każemy odnowić twój dom, Melciu, i osadzimy w nim jakąś ładną kobietę do pilnowania — rzekł pan Dumany.

— Matkę Aniele, proszę pana, ona była dobrą dla nas — odezwał się Iwonek.

— Pan zawsze myśli, jaką nam zrobić przysługę — powiedziała Melcia, ze wzruszeniem patrząc na swego opiekuna.

— Nie ma za co dziękować, moja droga, daj mi lepiej szklanek wody, bo umieram z pragnienia.

Melcia porwała szklanekę, Iwonek talerzyk i oboje skoczyli po świeżą wodę.

— Pora już odjeżdżać — rzekł po pewnym czasie Andeo do pana Dumany. — Mieszkańcy tej wioski często tędy przechodzą, a nie trzeba, żeby nas tu zastali.

Dzieci z żalem opuściły dom rodziców, pomodliły się za ich dusze i westchnawszy, wyszły na drogę. Pora

odpływu morza już się zbliżała, a od niej zależało wejście do skały. Andeo kazał zabrać dwa rydle i serca były wszystkim z niecierpliwości wobec bliskiego końca wyprawy.

— Nie warto już jechać całą milę i powracać znowu — rzekł pan Dumany — poczekajmy lepiej w pobliżu skały, a kolację zjemy w hotelu, gdy powrócimy.

— Ach, proszę pana — zawołał Iwonek — jeść mi się już chce, osłabnę jeszcze z głodu w podziemnem przejściu.

— No, no, no, nie bój się, a zresztą Jo pewnie ma zapasy w powozie.

— Pan zna mnie dobrze — roześmiał się Murzyn. — Mały nie umrze tu z głodu, i nie trzeba wracać do zajazdu.

— Chodźmy zatem do powozu, nie stracimy przynajmniej widoku morza.

Pan Dumany szedł, trzymając za rękę Melcię, Jo Iwonka, a Andeo postępował naprzód. Zmrok już pokrył wybrzeże i tylko gdzieś bielili się grzbiety fal morskich, srebrną pianą.

— Cóż nam dasz do jedzenia, Jo? — zawołał Iwonek dzwicznym, dzieciennym głosem, bo wiesz, ja umieram z głodu...

— Patrzcie! to zupełnie głos małego Derriena! — odezwała się jakaś kobieta, stojąca opodal z rybakiem, który pokazywał jej ryby w koszu.

— Panie, to karczmarka — szepnęła Melcia, chwytając za rękę swego opiekuna, uciekajmy!

— Nie bój się, mała, ja odpowiadam za ciebie.

— A Iwonek!...

Chłopiec, jak tylko usłyszał głos ich nieprzyjaciółki, natychmiast przybiegł do siostrzyczki z tą wiadomością.

— Jo — rzekł pan Dumany — zajmij się Iwonkiem i trzymaj go za rękę.

Na te słowa Jo porwał chłopca i posadził sobie na plecy.

— Nie bój się teraz, mój synu — rzekł, śmiejąc się, aby uspokoić drżącego chłopczykę — nikt mi ciebie nie odbierze.

— Ale karczmarka bardzo silna...

— Silna? ale jeśli będzie zła, to ją wezmę pod drugie ramię i zawiozę do Landes.

Tymczasem karczmarka opuściła rybaka i zbliżyła się do pana Dumany.

— Pan tu ma jakieś dzieci z sobą — rzekła — a jedno z nich przypomina mi chłopaka, którego szukamy od kilku miesięcy, zarówno jak jego siostrę. Jest ona w wieku tej panny — dodała, wskazując na Melcię — ale chcę zobaczyć tego chłopaka, który mówił przed chwilą.

— Czego chcesz od mego syna? On taki czarny, jak ja — rzekł Jo.

Widok tych dwóch Murzynów na razie zbił karczmarkę z tropu, ale podejrzenia jej się wzmogły, widziała przecież, jak wychodzili z domu Derrienów, głos chłopca był zupełnie podobny do głosu Iwonka, a i ta panna przypominała niezmiernie Melcię.

— A czegoście to chodzili do domu Derrienów — rzekła. — On nie jest ani do sprzedania ani do wynajęcia dla obcych.

— Zanadtoście ciekawi, idźcie swoją drogą — odpowiedział pan Dumany.

— Co, co! jestem zanadto ciekawa! Mam do tego prawo, bom u siebie, ale wy czego tu szukacie?

— Co nam się podoba.

(d. c. n.)

SZARADA

przez E. M.

*Pierwsze kogoś wskazuje, drugie mnie zastąpi,
Ale z małą odmianą i w literach skąpiej;
Trzecie łączne z imieniem. Wszystko rzeki tonię,
W znanym kraju, w północnej Europy stronie.*

ŁAMIGŁÓWKA POSTUMENT.

Ułożył Ułan z T.

10 * * * * 1 * * * * 20

21 * * * * 2 * * * * 29

30 * * 3 * * 36

37 * 4 * 41

42 * 5 * 46

47 * 6 * 51

52 * * 7 * * 58

59 * * * * 8 * * * * 67

68 * * * * 9 * * * * 78

Wyszukać 9 wyrazów, których środkowe litery od 1 do 9, złożą imię i nazwisko słynnego rzeźbiarza XVI wieku. 1) 10 — 20 Mieszkaniec okolic Krakowa. 2) 21 — 29 Kopalnie najpo-
trzebniejszej przyprawy ludzkiego pożywienia. 3) 30 — 36 Pseudonym współ-

czesnej poetki. 4) 37 — 41 Miasto w Tybecie. 5) 42 — 46 Góry w Galicyi. 6) 47 — 51 Wół dziki, pochodzi z Indyi wschodnich, żyje także w południowej Europie. 7) 52 — 58 Miasto nad Bugiem. 8) 59 — 67 Imię poety XVI wieku. 9) 68 — 78 Nazwisko księcia Lotaryngii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Zagadki: Lin — Nil.

Łamigłówniki sylabowej:

1) Monitor. 2) Antwerpia. 3) Dominik. 4) Arkanzas. 5) Gandawa. 6) Archeolog. 7) Sumatra. 8) Konrad. 9) Ameryka. 10) Radom.

Madagaskar — Madagaskar.

Łamigłówniki:

N a b a b
Z e n o n
K o r f u
K o k o s
F y t a n

Skrzynka do listów.

Przemienić się chcesz *Polny kwiatku* w *Fiolek* marmowy! Istnieje wprawdzie między temi roślinkami pewna cecha podobieństwa, stanowi ją przywiązywane do nich wyobrażenia skromności. Nie wątpimy też, że zaleta ta jest ci właściwą i widzimy, że łączysz do niej jeszcze przymiot pracowitości, czego mamy dowód w przysłanej sukience własnej roboty.

Na pochwałę zasługuje szczerść *Helenki K.*, która przesyłając koszulkę uprzedza, że w trudniejszych szczegółach musiała odwoływać się do pomocy drugich. Nie zmniejsza to jej zasługi, bo wiemy o tem wszyscy, iż początki każdej nauki trudnemi bywają, ale przy dobrej woli i wytrwałości, do wszystkiego po części dojść można.

Podobasz mi się z wielu względów *Trawko* ukraińska, najpierw z tego, że obrałaś sobie za godło drobną, a tak pożyteczną roślinkę; powtóre przypuszczam, że musisz być czynną i pracowitą osobką, skoro zdążyłaś wykończyć nie tylko swoją sukienkę, ale i siostrzyczce dopomogłaś, po trzecie, lubią cię za to, że nie jesteś zarozumiała i nie sądzisz, aby praca twoja zasługiwała na wyróżnienie. Najwięcej jednak podobasz mi się za ostatni ustęp twego listu, w którym prosisz, iżby nagroda, jeśli przysądzona wam będzie, dostała się nie tobie, tylko twojej młodszej siostrzyczce. Rośnij tak dalej skromnie pocziwa *Trawko*, rozwijaj w sercu uczucia miłości rodzinnej, zamilowania cichej, pożytecznej pracy, a staniesz się z czasem jednym z tych dobrych aniołów na ziemi, którzy w progu każdego domu wnoszą z sobą spokój, zgodę i błogosławieństwo Boże.

Nie gniewam się bynajmniej *Niezapominajko* z Łodzi, że zamiast zapowiedzianego sprawozdania z pobytu za granicą, dajesz mi opis ślicznej miejscowości znajdującej się w sąsiedztwie twego miasta rodzinnego. O zagranicznych osobliwościach wiemy dużo z książek, z ustnych opowiadań podróżnych, z korespondencji; tymczasem dokoła siebie mamy tyle pięknych siół i miast, malowniczych okolic, cienistych lasów, bujnych stepów, rozległych równin mało znanych, bo nikt nie zwraca na nie uwagi. Nauczmy się więc przedewszystkiem patrzeć na otaczającą nas naturę, naucmy się cenić dary, jakimi nas Bóg uposażył, a przekonamy się, że nasze pola, wsie i gaje mają właściwy sobie czar i urok, które mogą zachwycać oko i radować serce. Co do zmiany pseudonimu krępować woli twojej w tym względzie kochana *Niezapominajko* nie chcę, zrobisz co zechcesz, ale ja należę tych, którzy stale jednego trzymać się zwykli i nie zamieniłabym na żadne inne miano lubionej od was

Jaskółki.

Dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odnowieniu opłaty na kwartał IV-ty za:

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w **Warszawie** rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na **provincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — W **Lwowie** i **Krakowie** kwartalnie złr. 2. — W **Poznaniu** kwartalnie m. 3.

Sprostowanie: W numerze 37, w łamigłównice w kwadracie, sylaba 5, powinno być: *non*, a sylaba 10 *ze*.